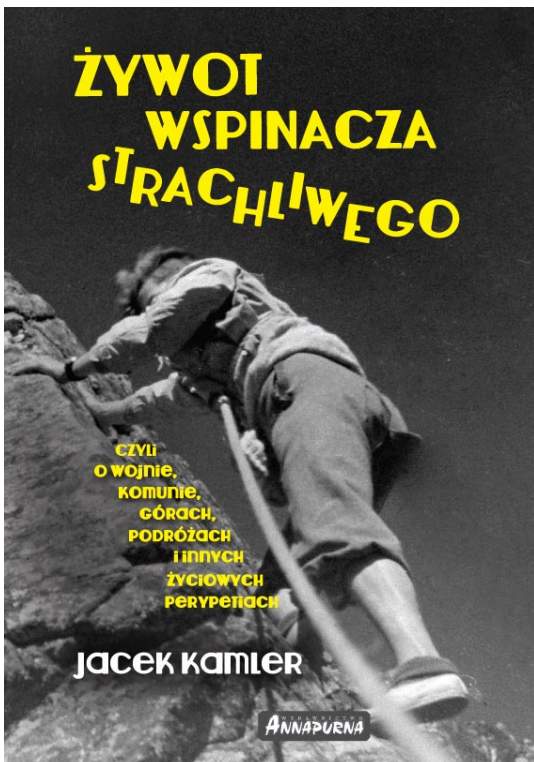


Rozpoczynamy nowy cykl materiałów zamieszczanych na naszej stronie - będą to fragmenty wybranych książek naszego wydawnictwa. Tym razem publikujemy rozdział z książki zmarłego w tym roku Jacka Kamlera [Żywot wspinacza strachliwego](#)



Palant samotny czyli kilka dni w Morskim Oku

Miałem już do tematu Morskiego Oka nie wracać, ale okazało się, że się nie da. Góry dopadną cię wszędzie i zawsze, jeśli tylko za młodu mocno cię złapały za poję.

Zeszliśmy się kiedyś, po pół wieku przeszło, ze Zbyszkiem Skoczylasem, wybitnym taternikiem z dawnych lat i zgadało się o Janku Długoszu - towarzyszu wspinaczkowym Zbyszka.

Zwali go Palantem, a był jednym z największych polskich taterników. Brał się za drogi wydawałoby się nie do przejścia i wyznaczał nowe granice ludzkich możliwości.

– Janek pojawił się w górach w 1949 roku – powiada Zbyszek – ale gdy tylko zjawił się w Tatrach, a był już wtedy bardzo zaawansowanym wspinaczem, to wziął się za największe ówczesne problemy, a miał ich trzy: Kant Mnicha, Wariant R i środek Kazalnicy.
[1]

No tak, myślę, niczego trudniejszego w Tatrach wtedy nie było. Szczególnie Wariant R na wschodniej ścianie Mnicha, tej widocznej od schroniska nad Morskim Okiem. Przejście tej drogi dotychczas stosowanymi metodami było niemożliwe – na pewnym odcinku była to gładka płyta, w którą nie dawało się wbić haka, żeby przejść ją techniką hakową. W płycie można jednak wywiercić otwór, wbić w niego nit, zawiesić na nim pętlę i ławeczki, i tak wspiąć się do góry. Janek z towarzyszami zdobyli wiertła, nity i przeszli tę ekstremalną drogę.

– Ale skąd wziął się ten Palant? – pytam.

– Widzisz, w słownictwie krakusów palant to taki człowiek, który się łapie za rzeczy, do których nie dorósł – wyjaśnia Zbyszek. – Janek wziął się na początek za Kant Mnicha, z którym mocowali się najlepsi z przedwojennego pokolenia, ale też w pierwszym podejściu nie dał rady. I wtedy pojawił się wierszyk: „Nie puścił Kant Palanta, / Ach, popatrz, popatrz, popatrz!”. Dziś nikt już nie pamięta, skąd to się wzięło. A to napisał Staś Urbański, jeden ze wspinaczkowego towarzystwa, wielki złośliwiec.

Jurandotem Staś się podparł, myślę sobie, tam też to „Popatrz, popatrz, popatrz!” było.

– I to do Janka przylgnęło – ciągnie dalej Zbyszek. – Ale nie minęło wiele czasu, jak rozprawił się ze wszystkimi problemami.

– Czyli dla ciebie był Jankiem, a nie Palantem? – pytam.

– Tak. Palant to, o dziwo, było bardziej oficjalne. Czasem, gdy się go wołało, to nie „Janek”, bo Janków mogło być kilku, tylko właśnie „Palant”. To było najprostsze i najszybsze.

– A on cierpliwie słuchoł, czy był wściekły?

– Uważał, że to jest ksywa, która mu pasuje. I to przyschoło.

– Mało go znałem – mówię. – On był z Krakowa, ja z Warszawy, a – pamiętasz przecież – oba te środowiska funkcjonowały wtedy tak trochę obok siebie, chociaż byliśmy wszyscy stłamszeni w trzech schroniskach.

Pewno! W trzech dolinach tatrzańskich, gdzie jeszcze, na dodatek, na najwyższe góry na graniach dookoła można było jedynie popatrzeć. Potem, pod koniec lat pięćdziesiątych, trochę poluzowano, ale i tak, kiedy ktoś dopadł zagraniczną książkę o wielkich górach i tłumaczył znajomym wieczorami, to mógł liczyć na wierne grono słuchaczy.

W schronisku nad Morskim Okiem Palant był Postacią, myślę sobie. Dobrze zapamiętałem, jak w schroniskowej jadalni przechadzał się z butelką plastikową w ręce i mógł dosięść się do każdego stołu. Tej butelki zazdrościłem mu przez lata całe. Tego, że można co i rusz, chodząc ot, tak sobie, pociągnąć łyka, a publiczność dookoła podziwiała. Dziś nikt w tę butelkę nie uwierzy.

Obecnie plastikowa butelka to najgorszy chłam i problem dla śmieciarzy. Wtedy była jedyna.

T

o był klejnot i złota dewizka do powyciąganego swetra i dziurawych tenisówek na werandzie w Morskim Oku.

Pamiętam, że byłem wtedy zimą w Mok-u z Jasiem Ryllem. To był nasz drugi czy trzeci zimowy sezon i mieliśmy wielkie plany przejścia granią naokoło jeziora, co w zimie stanowiło, w tamtych czasach, pewne osiągnięcie. Mieliśmy prowiant dla czteroosobowej ekipy i to nie byle jaki, bo suszoną kielbasę, czekoladę i sezamki w dużych ilościach. Stanowiło to kuszącą przynętę. Nic więc dziwnego, że Palant szybko awansował na członka planowanej ekspedycji i przyłgnał łatwo do naszego stołu. Mieliśmy jednak pecha. Siedzieliśmy całe dnie, patrząc na deszcz za

oknem, i spożywaliśmy razem te wszystkie luksusowe dobra. Skutkiem czego na sezamki do dziś nie mogę patrzeć. A pogoda nie odpuściła, więc grań pozostała jedynie w sferze projektów.

– I wtedy zimą – ciągnie opowieść Zbyszek – Palant postanowił zrobić samotnie Północną Mięgusza. Próbowaliśmy mu to wybić z głowy, ale on powiedział, że musi. To nie przerastało jego możliwości, ta droga jest nawet bezpieczniejsza zimą, bo wszystkie trawki są zamrożone i w rakach dobrze się idzie. No, ale to wielka ściana, tysiąc z hakiem metrów, w tamtych czasach to była duża rzecz.

– Słuchaj, tak się złożyło – wtrącam – że my z Jasiem Ryllem też postanowiliśmy przejść tę drogę. Dla nas było spore wyzwanie, ale byliśmy młodzi, dzielni i nie zastanawialiśmy się zbytnio, co się może stać. Jasne było, że z Palantem to inna sprawa. On był Wielki.

Tę drogę mógł zrobić z rękami w kieszeniach. Ale miał iść sam.

Żeby było jasne, o co chodzi: w górach wspina się zazwyczaj dwójkami. Między wspinaczami trzydzieści metrów liny. Jeden idzie w górę, a drugi, przywiązany na sztywno do stalowego haka, który przedtem wbił w ścianę, pilnuje, żeby ten ryzykujący życie, tam w górze, jego towarzysz, jeśli spadnie, miał szansę na tej linie zawisnąć. Czyli ci dwaj mogą się jeszcze w razie czego uratować. Jeśli zaś ktoś wspina się sam i to bez asekuracji, to każdy błąd, czy choćby urwany stopień, jest ostatnim. I dlatego takie samotne próby cenione są najbardziej. Sprawdzić się, to dla twardziela najważniejsze. A czym to pachnie, pewne wyobrażenie o tym może nam dać wspinaczka w wariacie miejskim: można czasem obejrzeć w telewizorze, gdy taki śmiałek wspina się na gładką ścianę hotelu Marriott, czy setne piętro innej budowli. Na dole gapie i władza, żeby śmiałka skuć i odprowadzić. Patrzysz na to, siedząc we własnym fotelu, i skóra ci cierpie na plecach. I o to chodzi, żeby ci cierpła bez ryzyka.

Ja, związany liną z Jasiem Ryllem, mogłem liczyć, że w razie czego zawisnę na haku, może będę jeszcze w miarę cały i jakoś się wydostanę. Palant nie mógł pomylić się ani razu. Ostateczność takiej sytuacji może człowieka przytłaczać całkowicie. Znane są przypadki zawodników-pływaków, godzinami trenujących w basenie, którzy topią się prawie ze strachu, gdy wypłyną na głębię otwartego jeziora. A więc do samotnej wspinaczki potrzebna jest psycha, jak to się obecnie mawia, z żelaza. Być może Palant właśnie to chciał w sobie sprawdzić. Pisał potem o tym w *Kominie pokutników*, do dziś kultowej książce kolejnych pokoleń. Kultowej do tego stopnia, że w pewnym momencie trzy wydawnictwa jednocześnie ją wznowiły. Janek pisał tam, że Północną Mięgusza znał dobrze, że najbardziej obawiał się lodospadu w kominie.

My wyruszyliśmy z Ryllem przed świtem, też na Północną Mięgusza. Dość łatwo podeszliśmy pod lodospad. Janek w *Kominie pokutników* wspominał, że o przejściu nie można nawet marzyć. Jakim cudem przeszliśmy te lody, nie pamiętam. Teraz, po latach, wspominał jedynie szeroki rozkrok na skraju odpadania i sięganie po coś nieosiągalnego. Poradziłem sobie jakoś, a dalej już szło się bez problemów.

Janek lody ominął żeberkiem. Dotarł do wygodnej płasienki i na razie był bezpieczny. A ja jego, a właściwie tylko jego twarz, zobaczyłem wtedy o kilkadziesiąt metrów na filarku po prawej. Uśmiechał się i nawet pokrzykiwaliśmy do siebie: „O kurwa, ale luft!” – czy coś podobnego. Palant robił wrażenie człowieka na pełnym luzie, który tylko na chwilę postanowił odsapnąć i jedynie zastanawiało mnie, dlaczego to znieruchomienie trwa tak długo. Wtedy przypuszczałem, że stał i podziwiał, jak rżemy na lodospadach. Zniknął nam potem z oczu, gdzieś nad nami, a pod wieczór spotkaliśmy się w schronisku.

– Janek przelazł przez to wszystko, ale miał, jak potem przyznał, moment załamania – wyjaśnia Zbyszek. – Mówił, że obok było tam wtedy dwóch wspinaczy i ich obecność go podbudowała.

– Wtedy ta nasza rozmowa – wtrącam – niemal jak przy kawie, trwała może i pół godziny, ale nigdy bym nie powiedział, że Janek jest w kłopotach!

– Dalsza kariera Janka – kontynuuje Zbyszek – i w Alpach, i na Kaukazie była bardzo piękna. Robił dobre, ambitne drogi, ale kiedyś powiedział mi, że będzie się musiał ustatkować. Wtedy zaprotestowałem go na szefa wykszolenia wojskowego na obozie na Hali Gąsiennicowej. Na tym obozie zginął. W strasznie głupi sposób. Spadł z grani Kościelców. Też szedł wtedy sam, bo to łatwizna, taka właściwie turystyczna droga, nikt tam inaczej nie chodzi. To jest taka Orla Perć czyli łatwa zupełnie. Tyle, że tam był kamul, który się gibał. Janek pewno na niego skoczył i gibnęło się tak, że wszystko poleciało. Do żlebu. Pewno z pięćdziesiąt metrów .

Pogrzeb był niezwykle uroczysty - wspomina Zbyszek - Nas przyjaciół setka. GOPR *in corpore*. Mama Janka, przeurocza pani. Cała w czerni. Z ramienia GOPR-u ogromny wieniec upleciony z kosówki niósł Tadiusz Figus, spity z żalości, bo bardzo Jasia lubił. Upił się dokumentnie i stał nad samym grobem z wieńcem na szyi. Kiwał się, a ja prowadziłem mamę Janka z jednej strony, a z drugiej Momatiuk. Mama zupełnie załamana, ale w pewnej chwili widzę, że zerka na Figusa, co się tak kiwa z wieńcem na samej krawędzi, zerka też na mnie i przez łzy się uśmiecha i

scenicznym szeptem mówi: „Wpadnie czy nie wpadnie?”. I potem dodała: „Wiesz, jakby Janek tu był, to by mu się to podobało”.

[1] Najtrudniejsze ówczesne drogi taternickie nad Morskim Okiem na Mnichu (Wariant R i Kant) oraz na Mięguszowieckim Szczycie (na Kazalnicy).